

Stanisław Jakóbczyk

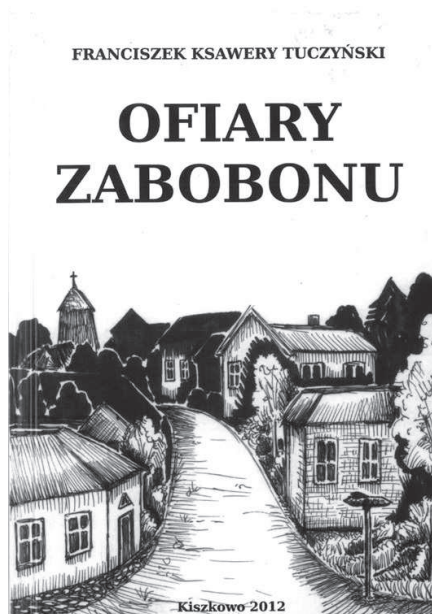
Wielkopolski pomysł : o książce „Ofiary zabobonu” — reedycji : nakładem Gminy Kiszkowo

Studia Europaea Gnesnensia 10, 415-422

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Stanisław Jakóbczyk
(Gniezno)

**WIELKOPOLSKI POMYSŁ. O KSIĄŻCE
„OFIARY ZABOBONU” — REEDYCJI
(NAKŁADEM GMINY KISZKOWO)**

DOI 10.14746/SEG.2014.10.22

Franciszek Ksawery Tuczyński, *Ofiary zabobonu* powieść obyczajowa z czasów polskich XVII [sic!] stulecia. Do druku podali, z oryginałem skoligacili A. Frąckowiak i B. Krakowski [;] Wstęp D. Jung [;] Ilustracje D. Sierzchulski [;] Gmina Kiszkowo 2012, 130 s.

Książka to przede wszystkim pewien przedmiot fizyczny, mający swoje parametry, jakieś „ciało”, które ma swój wygląd („walentny estetycznie”, jak powiada Ingarden), o którym wiemy jednak, że powstało z powodu jakiegoś uprzedniego zamysłu, którego wyraz jest zarazem w nim zawarty — to jakby „dusza” tego ciała.

Tekst niniejszy omawia książkę o dosyć skomplikowanej naturze owej „duszy” — składają się na nią nie tylko zamysł autora, wraz z treścią opowieści, fabułą i rzeczywistością przez nią przedstawioną, zwłaszcza co do realiów tzw. miejsca akcji (miasto Kiszkowo i okolice), ale też zamysł obecnych wydawców, jego realizacja i jej wpływ na pierwotny kształt głównego przedmiotu publikacji — tekstu tytułowej powieści; dalej kształt i funkcja dodatkowych tekstów, przedmiot ten uzupełniających, wreszcie — nie tylko ducha, ale i samo ciało uzupełniające — ilustracje.

Wiążąca się z omówieniem takiej książki ocena musi być niejednoznaczna. Zbyt wiele naraz bowiem jest tu rozmaitych zjawisk z natury swojej nadających się do oceny, będących czymś pomysłem albo też owocem czyjejś pracy. Niektóre pomysły mogą być więc ocenione pozytywnie, inne negatywnie, a ocena uśredniona ze wszystkich rodzajów ocen składowych może nie oddawać wcale ogólnego wrażenia — trzeba by na to także ustalić jakąś hierarchię owych rodzajów ocen. Tak jak przy ocenie szkolnych wypracowań na jakiś temat: jedno może być świetne co do tematycznych treści, ale fatalne językowo, a drugie odwrotnie. Teoretycznie oba powinny być ocenione identycznie — ale to zależy trochę od tego, które wartości są ważniejsze dla oceniającego: język czy tematyczne treści. A jeszcze kompozycja, staranność pisma, rozmiary...

W tym wypadku, poza tym, trudno mi oceniać obiektywnie, ponieważ sam fakt ukazania się książki mówiącej cokolwiek o bliskim mi kawałku ziemi, o regionie,

który już trochę znam, a chciałbym poznać lepiej, o miasteczku, które widuję kilka razy w tygodniu i które, przez przyzwyczajenie chociażby, jakoś polubiłem — muszę oceniać pozytywnie. Tak więc pomysł kiskowian, żeby wydać jakąś zapomnianą XIX-wieczną powiastkę tylko dlatego, że mówi o ich mieście, i dlatego, że jej autor kiedyś w nim mieszkał i pracował, jest dla mnie godzien pochwały. Przywołanie pamięci dawnego pisarza, prawdziwego intelektualisty, jakim był bez wątpienia Franciszek Ksawery Tuczyński, jest posunięciem słusznym, tak jak słuszne było — przynajmniej dla tych ludzi, którzy się takimi „ciekawostkowymi starociami” interesują — dokonanie tego przypomnienia poprzez jego własne dzieło, które — jako się rzekło — opowiada właśnie o dawnym Kiskowie. Opowiada co prawda rzeczy zmyślane, jak to powieść, ale prawdopodobne — jak to powieść realistyczna.

Urzeczywistnienie tego wydawniczego pomysłu, obleczenie go w „ciało” też wydaje się, przynajmniej na pierwszy rzut oka, udane: książka, jako przedmiot, wygląda bardzo... zatrzymuję się tu na chwilę — nie tyle żeby znaleźć jakieś trafne określenie, ale by podkreślić to, które od razu mi się nasuwa: ...wygląda bardzo przyjemnie. Ma właściwe, jak na niewielką powiastkę, rozmiary; solidną (może nieco zbyt błyszczącą, tak jak i papier w środku) okładkę; zarazem bardzo oryginalną, bo czarno-białą, co z pewnością wyróżniałoby ją na wystawie każdej współczesnej księgarni, jak i bezpretensjonalną, a więc pozbawioną nadmiernie wyszukanego artyzmu, nierzadko przesadzającego w poszukiwaniu oryginalności.

Obrazek na okładce, tak jak i znajdujące się w środku ilustracje, stylizowane lekko — właściwie lekko, bez przesady, z pięknym umiarem i techniką zdradzającą świadomego twórcę — na tzw. sztukę naiwną, świetnie są przede wszystkim dopasowane do natury i stylu samej powieści Tuczyńskiego — wolę raczej mówić opowiadki, bo do formy powieści jeszcze jej daleko. Bo — bądźmy szczerzy — tekst Tuczyńskiego, w którym co prawda też doszukać się można pewnej stylizacji prymitywizującej, jeśli byśmy chcieli koniecznie szukać w nim jakiejś sztuki, nie jest jednak tekstem z „wyższej półki”, a nawet wrażenie owego odcienia stylizacji jest zapewne tylko efektem naszej życzliwej nadinterpretacji. A więc najpierw sama opowiadka o „Ofiarach zabobonu” (właśnie: kto tam mianowicie, z tych literackich postaci, może być uważany za tego — i jakiego — zabobonu ofiarę? Właściwie nikt — w końcu ofiarą pada tylko pewna oszustka...).

Przede wszystkim wątpliwość materii fabularnej tak w przedstawionej akcji, jak i jej wewnętrznym czasie, a i po prostu rozmiary tekstu, nie kwalifikują go do miana powieści. Trudno też uważać go za nowelę czy tzw. opowiadanie ze względu na brak skupienia wokół jakiegoś głównego tematu, co z kolei wiąże się z chwiejną kompozycją: wygląda to tak, że rozległy i zapowiadający większą opowieść „mroczną” wstęp nagle okazuje się całą opowieścią o cechach społeczno-dydaktycznych,

umoralniających, która jeszcze szybko zostaje okraszona wątkiem miłosnym i nieudolną intrygą jednej z postaci — i wszystko wartko zmierza do w miarę szczęśliwego i jakże stereotypowego końca. Nie zawsze ustabilizowany język narratora i kreowanych postaci, z widocznym wysiłkiem pewnej, niewielkiej archaizacji (akcja opowiadania dzieje się mniej więcej sto lat przed jej opisaniem), też nie sprzyja przyjemności lektury.

Z całą pewnością świat niewiele traci, nie znając literackiej spuścizny naszego XIX-wiecznego krajana. Pamiętać trzeba, że w czasie, gdy tworzył on swój tekst, taka Orzeszkowa była już po napisaniu „Marty” i „Meira Ezołowicza”, Prus — po „Antku”, „Kamizelce”, „Anielce” i „Powracającej fali”, Sienkiewicz zaś zdążył napisać nie tylko „Janka Muzykanta”, ale też „Za chlebem”, a nawet „Ogniem i mieczem”. Z tą konkurencją Tuczyńskiego mierzyć się nie powinno, to zupełnie inny, nieosiągalny dlań poziom. „Ofiary zabobonu” pozostają w każdym razie sympatyczną ciekawostką. Nie tylko lokalną, ale nawet historyczno-ideologiczną. Ciekawe na przykład, szczególnie dla odbiorców nam współczesnych, XXI-wiecznych, jest podkreślenie racjonalnej, oświeconej wręcz (akcja ma się dziać w czasach niemalże oświeceniowych) i nowoczesnej, zdrowej, pozytywnej roli w całej intrydze sług katolickiego kościoła, którym udaje się w końcu pokonać ów tytułowy zabobon, zacofany i głupi; zupełnie jakbyśmy mieli do czynienia z pierwszymi wiekami, czy może latami, po wprowadzeniu chrześcijaństwa na naszej ziemi. To można chyba tłumaczyć nie tyle wiernością realiom epoki, czasu rzeczywistości przedstawionej, co raczej czasu, w którym powieść pisano, czyli społeczną postawą i rolą kościoła katolickiego w Polsce końca XIX w. — epoki, w której był on jedną z mądrych ości polskiej wspólnoty narodowej.

Ale zostawmy teraz na chwilę samą „powieść” i jej autora, a zobaczmy, jak ją wydano, jak wygląda realizacja pomysłu jej wznowienia.

To dziwne, ale wbrew enuncjacjom podających do druku (nazywam ich dalej „wydawcami kiszzkowskimi”), którzy mówią o jednym z egzemplarzy wydania „mikołowskiego” Karola Miarki z roku 1910¹ (na s. 3 i 4) jako tym, który posłużył za podstawę omawianej publikacji, wydaje się, że było to raczej wydanie „kościąńskie” z roku 1926². Chyba że było kilka (co najmniej dwa) wydań Miarki z początku XX w., przy czym to, z którego powieść przepisano między rokiem 2006 a 2012

¹ Ofiary zabobonu. Powieść obyczajowa z zeszłego stulecia przez Fr. Xaw. Tuczyńskiego, Mikołów–Warszawa, nakładem K. Miarki (egz. ze zbiorów Biblioteki Narodowej).

² Fr. Ksaw. Tuczyński, Ofiary zabobonu. Powieść, Nakładem i czcionkami Drukarni Spółkowej w Kościanie — 1926 (egz. ze zbiorów Biblioteki Narodowej).

(uprzednio ją skanując — s. 4 — ale nijak tego „skanu” nie wykorzystując), dziwnym trafem podobne byłoby do owej wersji „kościąńskiej” z roku 1926, a nie do innego egzemplarza „mikołowskiego”, będącego w posiadaniu Biblioteki Narodowej. Nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Dlatego sędzę, że z jakichś przyczyn — zapewne technicznych — w „Przyczynku...” mamy do czynienia z informacją, mówiąc oględnie, „uproszczoną”: mówiącą nam prawdę, ale bądź nie całą prawdę, bądź nie tylko prawdę. Może o pierwszym, mikołowskim wydaniu tylko wiadano, że istnieje, ale nikt go nie widział, bo nikt nie przypuszczał, żeby mogło się różnić od wydania kościańskiego, więc ktoś założył — pewnie najpierw właściciele opisywanego egzemplarza, któremu wszak brakowało podobno pierwszej strony, redakcyjnej i zarazem tytułowej — że ma do czynienia właśnie z tym pierwszym. Można zrozumieć właścicieli, ale podający do druku mogli jednak albo spróbować rzecz całą sprawdzić, albo — jeśli sprawdzili — poinformować czytelników rzetelnie, o jakim wydaniu piszą.

Wydanie kościańskie posłużyło też późniejszej publikacji (z roku 1938) tekstu Tuczyńskiego w odcinkach we wspomnianym w „Przyczynku...” „Orędowniku [...]” — dostępnym w Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej. Korzystając zapewne i z tego źródła, wydawcy kishkowscy posłużyli się zatem (świadomie lub nieświadomie, pośrednio i bezpośrednio) tylko jednym wydaniem — kościańskim, nie kolacjonując wszystkich dostępnych wersji tekstu. A szkoda, bo w ten sposób tracimy możliwość kontaktu z oryginałem, narażeni jesteśmy na zmiany wprowadzone przez wydawcę kościańskiego — zmiany nie zawsze szczęśliwe.

Już pierwsze zdanie powieści brzmi w wersji kościańskiej inaczej niż w oryginalnej, mikołowskiej: „Było to w końcu zeszłego wieku” [s. 3] — wersja mikołowska; „Było to w końcu ośmnastego wieku” — wersja kościańska. Wersja „kishkowska” zmienia tu ortografię, co można uzasadnić względami dydaktycznymi, dając: „Było to w końcu osiemnastego wieku” (s. 25). Niby nic, ale jakże odległe od oryginału! Wyrażenie „zeszły wiek” to zresztą niedoskonałość samego Tuczyńskiego, który chyba nie spodziewał się, że jego tekst przeżyje go o tyle lat, dając tu *oratio recta*, z określeniem momentu pisania, zamiast neutralnego (ponadczasowego) wyrażenia w *oratio obliqua*. Notabene, na stronie tytułowej kishkowskiego wydania mówi się o powieści z „XVII” wieku — nie wiadomo dlaczego.

Zaraz na 3 stronie wydań kościańskiego i podążającego za nim omawianego „kishkowskiego” (s. 25) mamy sformułowanie niezrozumiałe, z przecinkiem w złym miejscu: „Najmniejszy powiew wietrzyka nie łagodził paru listek, osiny wisiał spokojniuteńko i nie drżał” (kto lub co to był „osiny”, który wisiał i nie drżał — nie dowiadujemy się). Zdanie w oryginale mikołowskim było tymczasem zupełnie poprawne: „Najmniejszy powiew wietrzyka nie przerywał ciszy, listek osiny wisiał

spokojniuteńko i nie drżał”. Takich błędów kościańskiego wydania, krzywdzących dla oryginalnego tekstu Tuczyńskiego, a niepotrzebnie powtarzanych przez wersję kizzkowską, jest więcej — niestety.

W następnym zdaniu z kolei obie wersje XX-wieczne (czyli zapewne sam autor także) dają orzeczenie logicznie zgodne co do liczby z podmiotem: „Zwierzęta i ptastwo pochowały się [...]”, a tymczasem w kizzkowskiej wersji mamy XXI-wieczną „zgodność”: „Zwierzęta i ptastwo pochowało się [...]”. Zatem oprócz powielania zmian i błędów wersji kościańskiej wydawcy kizzkowscy dodają zmiany własne, na ogół po prostu niepotrzebne albo nawet błędne (pomijam sprawę ortografii — ze względów, o jakich już wspomniałem). I tak np. w obu wcześniejszych wersjach mamy (na s. 8 w wersji mikołowskiej, na s. 5 — w kościańskiej): „Po tych słowach usiadł, przytomni spuścili głowy, które w czasie żegnania mieli odkryte [...]”. W wersji kizzkowskiej czytamy (na s. 28) zdanie niezrozumiałe: „Po tych słowach usiadł, przytomnie spuścili głowy [itd.]”. Na s. 30 piszą tajemniczo: „[...] pan Bużalski idąc środkiem uderzał w to prawem, to lewem ramieniem o drzewo”, nie tylko nie współczesniając pisowni, ale też nie wyjaśniając, w co takiego uderzał Bużalski, uderzając zarazem ramieniem o drzewo. W starszych wersjach nie ma owego „w” i wszystko staje się jasne. Na tej samej stronie karkołomne, jak z abstrakcyjnej poezji: „[...] potem grzmot długi, i przeciągnął zatrzasnął powietrzem” — zamiast: „potem grzmot długi, przeciągły zatrząsł powietrzem”, jak w wersjach starszych, oryginalnych. Na następnej stronie znów mamy abstrakcyjne „Wicher zerwał się z chat, słomiane dachy i unosił je ze sobą, a drzewa gięły się, aż czubkami dotykały ziemi” i nie dowiadujemy się ani tego, dlaczego wicher zerwał się z chat, a nie z czegoś innego, ani co robiły słomiane dachy i kto je unosił. W wersjach oryginalnych jest oczywiście: „Wicher zrywał z chat słomiane dachy i unosił je ze sobą, a drzewa gięły się, że aż czubkami dotykały ziemi” (mik. — s. 12/13; kośc. — s. 7). Dwie strony dalej spotykamy klasyczny anakolut: „Wnet też znalazło się kilkunastu obywateli, którzy dowiedziawszy się o co chodzi, zaalarmowano innych [...]”, chociaż w oryginale nie ma tego błędu: „Wnet też znalazło się kilkunastu obywateli, którzy dowiedziawszy się [wersja kościańska słusznie dodaje w tym miejscu przecinek] o co chodzi, zaalarmowali innych [...]”.

Niektóre drobne — zdawałoby się — błędy, jak brak przecinka, stają się jednak rażące, kiedy prowadzą do niezamierzonego komizmu (np. na s. 39: „Kiedy ksiądz wyszedł hurmem [...]”). W tym samym zdaniu „nie odpowiadano za wnętrza” (chyba za zewnątrz też nie odpowiadano — ale nie była to relacja z placu budowy). Oczywiście w oryginale jest: „Kiedy ksiądz wyszedł, hurmem rzucono się [...]” i — odpowiednio — „nie odpowiadano ze wnętrza”. Dziś powiedzielibyśmy: „z wnętrza”.

Takich pomyłek, wynikających z nieuważnego przepisywania, jest dużo za dużo³ — nie licząc tzw. literówek ani takich zmian wobec tekstów oryginalnych, które do błędów językowych nie doprowadzają, są tylko zwyczajnie niepotrzebne⁴. W niniejszym omówieniu przytoczyłem tylko te, które znalazły się na pierwszych kilkunastu — na prawie sto — stronach tekstu powieści.

Pomyłki zdarzają się także w tekstach towarzyszących. Nie jest od nich wolny „Przyczynek do wydania, czyli jak książka Franciszka Ksawerego Tuczyńskiego «Ofiary zabobonu» trafiła drugi raz pod kiskowskie strzechy”. Już drugi akapit tego wstępu informuje, że „«Ofiary zabobonu» po raz pierwszy ukazały się w 1910 roku i wydrukowane zostały w mikołowskim Wydawnictwie Dzieł Ludowych Karola Miarki. Należy podkreślić, iż stało się to dwadzieścia lat po śmierci jej autora” (s. 3). Zaimki są zdradliwe — nie wiadomo, do jakiego rzeczownika odsyła zaimek „jej” w drugim zdaniu, bo nie ma w nim, ani w poprzednim, żadnego, który byłby rodzaju żeńskiego w liczbie pojedynczej. Jedynym w pierwszej części akapitu rzeczownikiem rodzaju żeńskiego w liczbie pojedynczej byłby tylko rzeczownik „miarka”, gdyby nie to, że jest tu faktycznie nazwą indywidualową denotującą osobnika płci męskiej, co nie jest takie rzadkie w polszczyźnie także wśród nazw ogólnych: nawet „mężczyzna” należy do deklinacji żeńskiej — ale i tak wymaga wtedy zaimka męskiego.

Na następnej stronie przecinek fatalnie oddziela podmiot zdania od orzeczenia („*[...] pani Stefania, podarowała książkę [...]”) zamiast nieco dalej zaznaczyć początek wtrącenia (imiesłowowego równoważnika zdania) między podmiotem a orzeczeniem („*[...] pani Anna Frąckowiak [tu przydałby się przecinek] przeglądając zasoby Wielkopolskiej Biblioteki cyfrowej, natrafiła [...]”). Na tej samej stronie jest też „postanowili wydać ponownie owe dzieło” zamiast „postanowili wydać ponownie owo dzieło”. Niezręcznie brzmi zdanie (ze strony 5): „Nie są one oczywiście wiernym odzwierciedleniem rzeczywistości, a jedynie jego wyobrażeniem” ze względu na dwuznaczność składniowo-semantyczną wyrażen z rzeczownikiem

³ Np. „uwija się świata” zamiast: „uwija się świata”, „jakimś sposobem” zamiast: „jakim sposobem”, „nie dotykając jeziora rzeczka”, zamiast: „nie dotykając jeziora, przechodzi rzeczka”; „Idąc wzdłuż jeziora [...], przybywającego się do osady rybackiej [...]” zamiast: „Idąc wzdłuż jeziora [...], przybywało się do osady rybackiej [...]”; „to was więcej opowiem” zamiast: „to wam więcej opowiem”, „ojciec się przeziębził, zachorowała” zamiast: „ojciec się przeziębził, zachorował”, „a im dłużej, teren groźniejszym stawało się” zamiast: „a im dłużej, tem groźniejszym stawało się” itd., itp.

⁴ Np. wtedy, gdy zamiast: „[...] jak się o tem niedługo dowiemy” (wersja mikołowska, s. 34), albo: „[...] jak się o tem nie długo dowiemy” (wersja kościańska, s. 17) wydawcy kiskowscy dają: „[...] jak się o tem niebawem dowiemy”.

będącym formalnie nazwą wyniku czynności (odsłownym) jako „czyimś”⁵. Tutaj może się wydawać, że chodzi o „wyobrażenia odzwierciedlenia”. Innego rodzaju, bo z dziedziny pragmatyki językowej, dyskusyjnym wyrażeniem jest wzmianka w czasie przyszłym o mającej nastąpić pierwszej oficjalnej prezentacji książki. Czytelnik, który przeczyta tę informację po 25 sierpnia 2012 r., będzie się czuł cokolwiek zapóźniony. Lepiej byłoby dać coś w obojętnym czasie teraźniejszym, np.: „Książkę tę prezentujemy po raz pierwszy 25 sierpnia 2012 roku...” itd., jeśli już nie przeszłym.

Rzecz jasna cały ów „Przyczynek...” jest w omawianej publikacji dodatkiem tyleż ciekawym, co przydatnym, jeśli nawet nie koniecznym.

Podobnie przydatnym, przy tym merytorycznie wartościowym dodatkiem (wręcz integralną częścią całości) jest, zawarty w omawianej książce, kilkunastostronnicowy wstęp biograficzno-historyczny pióra Dawida Junga. Tekst ten wydaje się dobrze, fachowo zaplanowany, opracowany i napisany. Można mieć najwyżej zastrzeżenia do jego ostatecznej redakcji i tzw. łamania. Zapewne w toku tych technicznych zabiegów zniknęło gdzieś pierwsze przytoczenie z pewnego źródła, które przypis 19 na s. 17 traktuje jako już cytowane: „«Słownik geograficzny...» op. cit. s. 114”. Domyślać się trzeba, że chodzi o tom czwarty „Słownika geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich” F. Sulimierskiego, B. Chlebowskiego i W. Walewskiego (Warszawa 1880–1902). Notabene, Sulimierski wspomina w nim także (zapewne za Dydyńskim) o sprawie czarownic z 1761 r. Taki drobny błąd wywołuje wrażenie, jakby tekst Junga był częścią jakiejś starszej, większej całości, do czego z jakichś względów ani autor, ani wydawcy nie chcą się przyznać.

Z powodu niefortunnego wspomnianego „łamania” najbardziej ucierpiał właśnie ostatni fragment, zawartego we „Wstępie” Dawida Junga, obszernego cytatu z książeczki księdza Dydyńskiego, będący z kolei przytoczeniem dekretu sądu kisz-kowskiego w sprawie owych czarownic. Fragmentem tym są podpisy wydających dekret urzędników. W przedmiotowej publikacji wygląda to tak, jakby podpisali go jacyś dwaj urzędnicy bez funkcji: Jan Orbiński i Antoni Jaroszkiewicz, następnie Wójt Kiszkowski Jan Czosiakiewicz, dwaj „Assessorowie”: Walenty Królewski i Wojciech Rudziński, i jeszcze jeden „Assessor” — P.M. Kiszkowski. Tymczasem u Dydyńskiego są to: Jan Orbiński (Wójt Kiszkowski), trzech „Assessorowie”: Antoni Jaroszkiewicz, Jan Czosiakiewicz i Walenty Królewski, oraz pisarz miejski Wojciech Rudziński.

⁵ Szkolny przykład to „zaproszenie dyrektora” — nie wiadomo, czy dyrektor zaprasza, czy jest zaproszony.

Nawiasem mówiąc, szkoda, że autor nie dotarł do oryginału owego słynnego dekretu. Co do jego treści (czy nawet autentyczności) zawieramy nadal tylko księ-dzu Dydyńskiemu i jego rzetelności dziejopisarskiej. Wątpliwości mogą być tym bardziej uzasadnione, że przecież już pół wieku wcześniej inna próba oskarżenia o czary przed kiszrowskim sądem skończyła się potępieniem i przykładowym ukaraniem skarżących, o czym autor wspomina (na s. 20).

Wspomniana książeczka Dydyńskiego, a konkretnie jej współczesne wydanie przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną⁶, mogło być doskonałym wzorem do naśladowania przez kiszrowskich wydawców powieści Tuczyńskiego. Tzw. reprint pozwoliłby uniknąć wszystkich tych błędów, o których zmuszony byłem pisać wyżej. Byłoby to o wiele lepszym rozwiązaniem przy tego typu publikacji niż żmudne i nieważne przepisywanie i komputerowe „łamanie”, przypominające w wielu miejscach efekt zabawy w głuchy telefon. Niezrozumiały był taki wybór, tym bardziej że — jak wynika ze słów wydawców — tekst oryginalnego wydania został już wcześniej skopiowany („skanowany”). Nie mielibyśmy wtedy co prawda ilustracji Dawida Sierzchulskiego, stylowych i pasujących doskonale do całości, ale za to nie psulibyśmy tego, co przecież miało być — jak pisze we „Wstępie” Dawid Jung — powodem do dumy współczesnych kiszrowskich.

W sumie — mamy tzw. cenną inicjatywę i dobry pomysł, ale wykonany za mało starannie. Ewentualne następne wznowienie wymagać będzie zwykłej, solidnej korekty wydawniczej, a może także matowych okładek i papieru. I wtedy dopiero będziemy mogli powiedzieć, że książka ta nie tylko jest ładną ciekawostką, ale też świadczy o tradycyjnie dobrej, wielkopolskiej robocie.

⁶ Wiadomości historyczne o Mieście Kłecku zebrał X. Józef Dydyński, Dziekan foralny i Pro-boszcz KłECKI, Gniezno 1858. Reprint wydano w 2004 r. z inicjatywy i ze środków finansowych Samorządu Miasta i Gminy z okazji 750 rocznicy nadania KłECKU praw miejskich. Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu.